

HARLAN COBEN

Tylko jedno spojrzenie

Thriller



Scott Duncan siedział naprzeciwko zabójcy.

W pokoju bez okien, o ścianach koloru burzowej chmury, panowało niezręczne milczenie, jak w chwili, gdy muzyka zaczyna grać i nikt z obecnych nie wie, jak to się tańczy. Scott spróbował niezobowiązującego kiwnięcia głową. Zabójca, ubrany w więzienny pomarańczowy drelich, tylko się na niego gapił. Scott splótł dłonie i położył je na metalowym blacie stołu. Zabójca – z akt wynikało, że nazywa się Monte Scanlon, ale z pewnością nie było to jego prawdziwe nazwisko – być może zrobiłby to samo, gdyby nie był skuty.

Dlaczego tu przyjechałem?, ponownie zadał sobie pytanie Scott.

Specjalizował się w oskarżaniu skorumpowanych polityków, więc w swoim rodzinnym New Jersey nie narzekał na brak zajęcia, ale trzy godziny temu Monte Scanlon, spełniający kryteria każdej definicji seryjnego zabójcy, w końcu przerwał milczenie i czegoś zażądał.

Czego?

Prywatnego spotkania z zastępcą prokuratora, Scottem Duncanem.

Było to dziwne z wielu powodów, z których dwa najważniejsze to po pierwsze, zabójca nie miał prawa niczego żądać, a po drugie, Scott nigdy nie spotkał Monte Scanlona ani nawet o nim nie słyszał.

- Chciałeś się ze mną widzieć? – przerwał ciszę Scott.
- Tak.

Scott skinął głową i czekał. Nie doczekał się.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

Monte Scanlon nadal uważnie mu się przypatrywał.

– Wiesz dlaczego tu siedzę?

Scott omiół spojrzeniem pokój. Oprócz ich dwóch, znajdowały się w nim jeszcze cztery osoby. Prokurator Linda Morgan podpierała ścianę, z udawaną swobodą Sinatry opierającego się o latarnię. Za więźniem stali dwaj potężni, niemal identyczni strażnicy więzienni z ramionami jak pniaki i torsami jak beczki. Scott spotkał ich już wcześniej i widział, jak wykonują swoją robotę z pogodą ducha instruktorów jogi. Jednak teraz, w obecności tego skutego więźnia, nawet oni byli lekko spięci. Adwokat Scanlona, łasicowaty i cuchnący tandetną wodą kołońską, był czwarty. Wszyscy spoglądali na Scotta.

– Zabiłeś ludzi – odparł Scott. – Wielu.

– Byłem, jak to się mówi, cynglem. Byłem... – Scanlon odczekał moment – zabójcą do wynajęcia.

– Nie zajmowałem się żadnym z tych zabójstw.

– To prawda.

Ten dzień zaczął się dla Scotta zupełnie zwyczajnie. Przygotowywał pozew sądowy dla członka zarządu firmy zajmującej się utylizacją odpadów, który przekupił burmistrza pewnego miasteczka. Rutynowa sprawa. Codzienność w Garden State, jak nazywano stan New Jersey. Było to zaledwie... No ile, godzinę czy półtorej godziny temu? Teraz siedział przy jednym stole z człowiekiem, który, według szacunkowego wyliczenia Lindy Morgan, zabił setkę ludzi.

– Dlaczego więc chciałeś zobaczyć się ze mną?

Scanlon wyglądał jak podstarzały playboy, który w latach pięćdziesiątych podrywał siostrę Gabor. Był mały i chuderlawy. Siwiejące włosy miał zaczesane do tyłu, zęby pożółkłe od nikotyny, skórę niezdrową od nadmiaru słońca i zbyt wielu długich nocy w zbyt wielu ciemnych klubach. Nikt z obecnych nie wiedział, jak naprawdę nazywa się ten człowiek. Został aresztowany z paszportem wystawionym na nazwisko Monte Scanlona, pięćdziesięcioletniego Argentyńczyka. Wiek wydawał się zgodny z prawdą, ale nic poza tym. Jego odcis-

ki palców nie figurowały w komputerowych bankach NCIC. Oprogramowanie do identyfikacji twarzy zniosło wielkie jajo.

– Musimy porozmawiać w cztery oczy.

– Nie zajmuję się twoją sprawą – powtórzył Scott. – Prowadzi ją inny prokurator.

– To nie ma z nią nic wspólnego.

– A ma coś wspólnego ze mną?

Scanlon nachylił się do niego.

– To, co zamierzam ci powiedzieć – rzekł – zmieni całe twoje życie.

W tym momencie Scott miał ochotę pogrozić mu palcem i wycedzić: „no, no”. Znał te zagrania złapanych przestępców: mataczenie, próby wywierania nacisku, rozpaczliwe poszukiwania jakiegoś wyjścia z opresji, wybujałe poczucie własnej wartości. Linda Morgan, jakby czytała w jego myślach, posłała mu ostrzegawcze spojrzenie. Monte Scanlon, powiedziała mu, pracował dla różnych rodzin gangsterskich przez ponad trzydzieści lat. RICO czekała, aż okaże gotowość do współpracy, jak wygłodniały człowiek na otwarcie bufetu. Od chwili aresztowania Scanlon uporczywie milczał. Aż do tego ranka.

Dlatego Scott znalazł się tutaj.

– Twoja szefowa – rzekł Scanlon, ruchem głowy wskazując Lindę Morgan – ma nadzieję, że będę współpracował.

– I tak dostaniesz zastrzyk – odparła Morgan, wciąż z udawaną nonszalancją. – Cokolwiek powiesz lub zrobisz i tak tego nie zmieni.

Scanlon uśmiechnął się.

– Daj spokój. Bardziej obawiasz się stracić to, co mogę powiedzieć, niż ja boję się śmierci.

– Racja. Jeszcze jeden twardziel, który nie boi się śmierci. – Odkleiła się od ściany. – Wiesz co, Monte? Ci twardzi faceci zawsze robią w gacie, kiedy przywiązujemy ich do noszy.

Scott znów miał ochotę pogrozić palcem, tym razem swojej szefowej. Scanlon nadal się uśmiechał. Nie odrywał od niego oczu. Scottowi nie podobało się to spojrzenie. Jego oczy, jak można się było spodziewać, były czarne, błyszczące i okrutne. Jednak, choć być może Scottowi tylko tak się zdawało, było

w nich coś jeszcze oprócz typowej obojętności. Wydawało mu się, że dostrzeżę w nich coś, czego nie powinien zignorować. Może to żal?

A może nawet skrucha.

Scott spojrzął na Lindę i skinął głową. Zmarszczyła brwi, ale Scanlon przejrzał jej blef. Dotknęła ramienia jednego z potężnie zbudowanych strażników i odprawiła ich. Podnosząc się z krzesła, adwokat Scanlona odezwał się po raz pierwszy:

– Wszystko, co powie, będzie poufne.

– Zostań z nimi – polecił mu Scanlon. – Chcę mieć pewność, że nie podsłuchują.

Prawnik wziął teczkę i poszedł z Lindą Morgan do drzwi. Scott i Scanlon zostali sami. W filmach zabójcy są wszechmocni. W prawdziwym życiu nie. Nie uwalniają się z kajdan i nie uciekają z dobrze strzeżonego federalnego więzienia. Scott wiedział, że Bracia Byki obserwują pomieszczenie przez weneckie lustro. Mikrofony, na życzenie Scanlona, zostaną wyłączone. Jednak wszyscy będą patrzyli.

Ponaglająco wzruszył ramionami.

– Nie jestem typowym mordercą do wynajęcia.

– Uhm.

– Mam swoje zasady.

Scott czekał.

– Na przykład zabijam tylko mężczyzn.

– O – rzekł Scott. – Jak miło.

Scanlon zignorował tę sarkastyczną uwagę.

– To moja pierwsza zasada. Zabijam tylko mężczyzn. Kobiet nie ruszam.

– No dobrze. Powiedz, czy druga zasada mówi coś o czekaniu do trzeciej randki?

– Uważasz mnie za potwora?

Scott wzruszył ramionami, jakby odpowiedź była najzupełniej oczywista.

– Nie podobają ci się moje zasady?

– Jakie zasady? Zabijasz ludzi. Wymyśliłeś sobie te tak zwane zasady, ponieważ były ci potrzebne. Pozwalały ci się ludzić, że jesteś człowiekiem.

Scanlon zastanowił się.

– Być może – przyznał. – Jednak ludzie, których zabijam, zasługiwali na to. Śmieci wynajmowały mnie, żebym sprzątał inne śmieci. Ja jestem tylko narzędziem.

– Mieczem?

– Tak.

– Miecz nie zważa, kogo zabija, Monte. Mężczyzn, kobiety, staruszki, małe dzieci. Broń nie robi żadnych wyjątków.

Scanlon uśmiechnął się.

– *Touche.*

Scott otarł dłonie o nogawki spodni.

– Nie zaprosiłeś mnie chyba na wykład z etyki. Czego chcesz?

– Jesteś rozwiedziony, prawda, Scott?

Nie odpowiedział.

– Bezdzienny, po spokojnym rozwodzie, wciąż przyjaźnisz się ze swoją byłą.

– Czego chcesz?

– Wyjaśnić.

– Co wyjaśnić?

Opuścił wzrok, ale tylko na moment.

– To, co ci zrobiłem.

– Nawet cię nie znam.

– Ale ja znam ciebie. Znam cię od dawna.

Scott milczał. Zerknął w lustro. Linda Morgan z pewnością stoi za tą szybą i zastanawia się, o czym rozmawiają. Potrzebuje informacji. Zastanawiał się, czy to pomieszczenie jest na podsłuchu. Zapewne jest. Tak czy inaczej, powinien pociągnąć Scanlona za język.

– Nazywasz się Scott Duncan. Masz trzydzieści dziewięć lat. Ukończyłeś Columbia Law School. Mógłbyś zarobić znacznie więcej pieniędzy, otwierając prywatną praktykę, ale to cię nie interesuje. Od sześciu miesięcy pracujesz w biurze prokuratora okręgowego. Twoi rodzice w zeszłym roku przeprowadzili się do Miami. Miałeś siostrę, ale umarła, kiedy jeszcze była college'u.

Scott wygodniej usiadł na krześle. Scanlon przyglądał mu się.

– Skończyłeś?

– Wiesz, w jaki sposób załatwiam interesy?

Zmiana tematu. Scott czekał na przynętę. Scanlon podjął z góry przegraną grę, usiłując wytrącić go z równowagi. Scott nie zamierzał się na to nabrać. Żadna z „wyjawionych” przez Scanlona informacji o rodzinie Scotta nie była rewelacją. Można je było uzyskać za pomocą kilku stuknięć w klawiaturę i paru telefonów.

– Może sam mi to powiesz?

– Założmy – zaczął Scanlon – że chcesz, żeby ktoś umarł.

– Dobrze.

– Możesz skontaktować się ze znajomym, który zna pewnego gościa, który zna takiego, który ma ze mną kontakt.

– I tylko ten ostatni cię zna?

– Mniej więcej. Korzystałem z usług tylko jednego pośrednika, ale nawet z nim zachowywałem ostrożność. Nigdy nie spotkaliśmy się twarzą w twarz. Używaliśmy pseudonimów. Płatności zawsze załatwialiśmy przez zagraniczne konta. Otwierałem nowe przy każdej, powiedzmy, transakcji i zamykałem natychmiast po jej zakończeniu. Nadążasz?

– To nie jest zbyt skomplikowane.

– Nie, chyba nie. Jednak widzisz, w dzisiejszych czasach kontaktujemy się za pomocą poczty elektronicznej. Wystarczy, że założę na Yahoo! lub innej witrynie tymczasowe konto pod fałszywym nazwiskiem. Nikt mnie nie wytropi. A nawet gdybyś odkrył, kto wysłał wiadomość, co ci to da? Wszystkie listy wysyłano i czytano w bibliotekach lub innych publicznych miejscach. Byliśmy idealnie zabezpieczeni.

Scott już miał powiedzieć, że mimo tego idealnego zabezpieczenia w końcu Scanlona złapano i wsadzono do pierdła, ale zatrzymał tę uwagę dla siebie.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Zaraz do tego dojdę. – Scott widział, że Scanlon zaczyna się rozkręcać. – Dawniej, a kiedy mówię „dawniej”, mam na myśli okres przed ośmioma, najwyżej dziesięcioma laty, przeważnie korzystaliśmy z budek telefonicznych. Nigdy nie dostawałem nazwiska ofiary na piśmie. Kontakt przekazywał mi je przez telefon.

Scanlon urwał i upewnił się, że Scott uważnie go słucha. Podjął nieco ciszej i nie tak beznamiętnie:

– W tym rzecz, Scott. Dzwonił z budki. Podano mi nazwisko przez telefon, nie na piśmie.

Spojrzał na Scotta wyczekująco. Ten nie miał pojęcia, co usiłuje mu powiedzieć, więc mruknął zachęcająco:

– Uhm.

– Czy rozumiesz, dlaczego podkreślam, że przekazano mi namiary przez telefon?

– Nie.

– Ponieważ ktoś taki jak ja, człowiek z zasadami, może w ten sposób popełnić błąd.

Scott zastanowił się.

– Nadal nie rozumiem.

– Nie zabijam kobiet. To moja zasada numer jeden.

– Już mówiłeś.

– Tak więc, gdybyś chciał załatwić kogoś, kto nazywa się Billy Smith, założyłbym, że Billy to mężczyzna. No wiesz, z „y” na końcu. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Billy może być kobietą. Z imieniem pisanim przez „ie”. Rozumiesz?

Scott znieruchomiał. Scanlon to zauważył. Posłał mu krzywy uśmiech i powiedział łagodnie:

– Wspomnieliśmy już o twojej siostrze, prawda, Scott?

Scott nie odpowiedział.

– Miała na imię Geri, mam rację?

Milczał.

– Dostrzegasz problem, Scott? Geri to jedno z takich imion. Jeśli usłyszysz je przez telefon, zakładasz, że zaczyna się na „j” i kończy na „y”. Tak więc piętnaście lat temu odebrałem telefon. Dzwonił pośrednik, o którym ci mówiłem...

Scott pokręcił głową.

– Dostałem adres. Powiedziano mi, o której dokładnie „Jerry” – Scanlon nakreślił w powietrzu cudzysłów – będzie w domu.

Scott miał wrażenie, że jego własny głos dobiega z daleka.

– Uznano to za wypadek.

– Jak większość podpaień, jeśli podpalacz zna się na rzeczy.

– Nie wierzę.

Jednak Scott spojrzął mu w twarz i poczuł, że jego świat chwieje się w posadach. Przed oczami przemknął mu szereg obrazów: zaraźliwy śmiech Geri, jej potargane włosy, aparat na zębach, sposób, w jaki pokazywała mu język podczas rodzinnych uroczystości. Przypomnił sobie jej pierwszego chłopaka (przygłupa imieniem Brad), to, że w pierwszej i drugiej klasie nie chodziła na randki, płomienną przemowę, jaką wygłosiła, ubiegając się o stanowisko szkolnej skarbniczki, jej występy z zespołem rockowym (byli okropni) oraz zawiadomienie o przyjęciu na studia.

Łzy napłynęły mu do oczu.

– Miała zaledwie dwadzieścia jeden lat.

Scanlon nie odpowiedział.

– Dlaczego?

– Ja nie pytam dlaczego, Scott. Jestem tylko najemnikiem...

– Nie o to chodzi. – Scott podniósł głowę. – Dlaczego mówisz mi o tym teraz?

Scanlon studiował swoje odbicie w lustrze. Po chwili rzekł bardzo cicho:

– Może miałeś rację.

– W czym?

– Tym, co mówiłeś wcześniej. – Odwrócił się do Scotta. – Może kiedy wszystko zostało już powiedziane i przesądzone, chcę się ludzić, że jestem człowiekiem.

Rozdział 1

Zdarzają się nagle zawirowania. Zmiany tak głębokie, jak rany pozostawione przez ostrze noża rozcinające ciało. Twoje życie wydaje się monolitem, lecz nagle rozpada się na kawałki. Rozłazi się, jak brzegi rany brzucha. Jakby ktoś pociągnął za nitkę. Szew puszcza. Zmiana z początku jest powolna, prawie niezauważalna.

Życie Grace Lawson zaczęło się rozpadać, kiedy poszła odebrać zdjęcia.

Właśnie miała wejść do Photomatu, kiedy usłyszała znajomo brzmiący głos.

– Dlaczego nie kupisz sobie cyfrowego aparatu, Grace?

Odwróciła się.

– Kiepsko sobie radzę z technicznymi nowinkami.

– Och, daj spokój. Fotografia cyfrowa jest równie łatwa jak pstryknięcie palcami. – Kobieta podniosła rękę i naprawdę pstryknęła palcami, na wypadek, gdyby Grace nie wiedziała, co oznacza ten zwrot. – A aparaty cyfrowe są o wiele wygodniejsze od analogowych. Po prostu kasujesz te zdjęcia, których nie chcesz. Jak pliki w komputerze. Chcesz mieć własną kartkę bożonarodzeniową? Cóż, Barry zrobił dzieciom chyba z milion zdjęć, no wiesz, pstryka, ilekroć Blake mrugnie albo Kyle wygląda niewyraźnie, a kiedy robisz ich tyle, to, jak mówi Barry, w końcu zrobisz jedno naprawdę dobre, no nie?

Grace kiwnęła głową. Usiłowała sobie przypomnieć, jak nazywa się rozmówczyni, ale nie mogła. Córka tej kobiety –

chyba Blake, tak? – chodziła do pierwszej klasy razem z synem Grace. A może przez ostatni rok do przedszkola. Trudno wszystkich spamiętać. Grace uśmiechała się uprzejmie. Ta kobieta była miła, ale niczym nie wyróżniała się z tłumu innych. Grace nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy sama też wtopiła się w tłum, czy jej niegdyś wybitna osobowość została wessana przez wir podmiejskiej społeczności.

Nie była to przyjemna myśl.

Kobieta nadal opisywała cuda cyfrowej ery. Grace zaczęły boleć rozciągnięte w uśmiechu wargi. Zerknęła na zegarek w nadziei, że Techno Mama zrozumie aluzję. Druga czterdzieści pięć. Zaraz powinna odebrać Maxa ze szkoły. Emma miała lekcję pływania, ale dziś inna mama odwoziła dzieciaki na basen. Jak kwoka, a właściwie kaczka ze stadkiem małych, powiedziała z chichotem do Grace. Taak, bardzo śmieszne.

– Musimy się spotkać – powiedziała kobieta, robiąc przerwę, aby zaczerpnąć tchu. – Z Jackiem i Barrym. Myślę, że by się polubili.

– Z pewnością.

Grace wykorzystała ten moment, by pomachać kobiecie na pożegnanie i zniknąć w głębi Photomatu. Szklane drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. Zabrzączał dzwonek. Najpierw poczuła zapach chemikaliów, trochę przypominający woń kleju modelarskiego. Pomyślała o skutkach długotrwałej pracy w takim środowisku i doszła do wniosku, że krótkotrwały pobyt jest wystarczająco irytujący.

Chłopak pracujący za kontuarem – używając określenia „pracujący”, Grace wykazała dużo dobrej woli – miał rzadką kozią bródkę, włosy we wszystkich barwach tęczy i tonę złomu powtykanego w rozmaite części ciała. Na jego głowie tkwiły sporych rozmiarów słuchawki. Płynąca z nich muzyka była tak głośna, że Grace wyczuwała basowe dudnienie. Chłopak miał też tatuaże, całe mnóstwo tatuaży. Jeden z nich głosił: STONE. Inny KILLJOY. Grace pomyślała, że trzeci powinien brzmieć LESER.

– Przepraszam?

Nie podniósł głowy.

– Przepraszam? – powiedziała trochę głośniej.

Nadal nic.

– Hej, facet!

Wreszcie zwróciła jego uwagę. Mruknął coś pod nosem i zmrużył oczy, zirytowany, że ktoś mu przeszkadza. Niechętnie zdjął słuchawki.

– Papier.

– Słucham?

– Papier.

Aha. Grace wręczyła mu kwit. Kozia Bródka zapytał ją o nazwisko. To przypomniało Grace jedną z tych cholernych infolinii, które każą ci podać numer twojego telefonu, a gdy wreszcie połączą cię z żywym człowiekiem, ten natychmiast znów się go domaga. Jakby automat pytał tylko dla wprawy.

Kozia Bródka, Grace coraz bardziej podobał się ten pseudonim, przerzucił stertę kopert ze zdjęciami, zanim wyjął jedną. Oderwał kawałek przyklejonego kwitu i podał Grace wygórowaną cenę. Wręczyła mu kupon Val-Pak, wygrzebany z torebki po poszukiwaniach dorównujących intensywnością poszukiwaniom zwojów znad Morza Martwego i zaczęła, aż opłata stanie się nieco rozsądniejsza.

Wręczył jej kopertę ze zdjęciami. Grace podziękowała mu, ale muzyka znowu sączyła się w jego zwoje mózgowe.

– Nie przyszedł tu po zdjęcia – powiedziała Grace – lecz nawiązać ożywioną intelektualną dyskusję.

Kozia Bródka ziewnął i podniósł magazyn. Ostatni numer „Współczesnego lesera”.

Grace wyszła. Dzień był chłodny. Jesień z zimną pewnością siebie zmuszały lato do odwrotu. Liście jeszcze nie zaczęły żółknąć, ale powietrze miało już temperaturę chłodzonego cydru. Na wystawach pojawiły się dekoracje z okazji halloween. Emma, która skończyła trzecią klasę, namówiła Jacka, żeby kupił dwuipółmetrowego nadmuchiwanego Homera Simpsona, który miał pełnić rolę Frankensteina. Grace musiała przyznać, że balon wyglądał naprawdę strasznie. Ich dzieci uwielbiały Simpsonów, co oznaczało, że może jednak ona i Jack dobrze je wychowywali.

Grace miała ochotę natychmiast otworzyć kopertę. Oglądanie nowych odbitek zawsze było emocjonujące, niczym rozpakowywanie prezentu lub niecierpliwe otwieranie skrzynki pocztowej, choćby zawsze były w niej tylko rachunki. Fotografia cyfrowa, pomimo wszystkich swoich zalet, nigdy nie będzie mogła się z tym równać. Tylko że zaraz skończą się lekcje.

Kiedy jej saab wspiął się na Heights Road, wybrała nieco okrężną drogę, żeby przejechać przez punkt widokowy i spojrzeć na miasto. Miała stamtąd wspaniały widok na cały Manhattan, szczególnie w nocy, kiedy rozpościerał się w dole jak milion diamentów rozsypanych na czarnym aksamicie. Tęskniła. Kochała Nowy Jork. Jeszcze cztery lata temu ta cudowna wyspa była ich domem. Mieszkali na poddaszu przy Charles Street w Village. Jack prowadził badania naukowe dla dużej firmy farmaceutycznej. Ona malowała w swojej pracowni, z wyższością spoglądając na żony z przedmieść z ich dżipami, sztruksowymi spodniami i nieustanną gadaniną o dzieciach. Teraz była jedną z nich.

Zaparkowała na tyłach szkoły, razem z innymi matkami. Wyłączyła silnik, wzięła kopertę z Photomatu i rozerwała ją. Był to film z wycieczki do Chester, dokąd jeździli co roku na zrywanie jabłek. Jack robił zdjęcia. Lubił pełnić rolę rodzinnego fotografa. Robienie zdjęć uważał za męskie zajęcie, część ojcowskich obowiązków.

Pierwsze zdjęcie ukazywało Emmę, ich ośmioletnią córkę, oraz Maxa, sześcioletniego syna, zjeżdżających ze stogu siana. Dzieci kuliły się, zarumienione od wiatru. Grace przez chwilę przyglądała się zdjęciu. Czuła... no tak, macierzyńską troskę, pierwotną i prymitywną. Tak to już jest z dziećmi. Właśnie takie drobiazgi chwytają za serce. Przypomniała sobie, że to był zimny dzień. Wiedziała, że w sadzie będzie mnóstwo ludzi. Nie chciała tam jechać. Teraz, kiedy patrzyła na to zdjęcie, dziwiły ją te głupie zastrzeżenia.

Inne matki zebrały się przy ogrodzeniu, gawędząc i uzgadniając terminy urodzinowych przyjęć. Oczywiście była to nowa era, Ameryka zwycięskich feministek, a mimo to wśród prawie osiemdziesięciu rodziców czekających na dzieci było

tylko dwóch mężczyzn. Jeden z nich, jak wiedziała, był porzuconym ponad rok temu mężem. Poznawała to po jego oczach, powłóczeniu nogami, niedogolonym podbródku. Drugi był pracującym w domu dziennikarzem, który zawsze wydawał się aż nazbyt chętny do pogawędki z matkami. Może czuł się osamotniony. A może z innego powodu.

Ktoś zapukał w szybę. Grace podniosła głowę. Cora Lindley, jej najlepsza przyjaciółka w miasteczku, dała jej znak, żeby otworzyła drzwi. Grace zrobiła to. Cora usiadła na fotelu obok niej.

- Jak udała się wczorajsza randka? – zapytała Grace.
- Niezbyt.
- Przykro mi.
- Syndrom piątej randki.

Cora była rozwódką, trochę zanadto seksowną dla nerwowych, zawsze pilnujących swego „pań z towarzystwa”. Nosząca obcisłe i wydekoltowane bluzki, elastyczne spodnie lub różowe szorty, Cora z całą pewnością nie pasowała do tłumu w khaki i luźnych swetrach. Inne matki spoglądały na nią podejrzliwie. Dorośli na przedmieściach pod wieloma względami zachowują się jak dzieci w szkole.

- Co to jest syndrom piątej randki? – zapytała Grace.
- Niezbyt często chodzisz na randki, co?
- Raczej nie – przyznała Grace. – Mąż i dwójka dzieci trochę podcięły mi skrzydła.

– Szkoda. Widzisz... i nie pytaj mnie dlaczego, ale na piątej randce faceci zawsze poruszają temat... Jak to delikatnie wyrazić? Zabawy we troje.

- Powiedz mi, że żartujesz.
- Wcale nie żartuję. Na piątej randce. Najpóźniej. Facet pyta mnie, oczywiście zupełnie teoretycznie, co sądzę o zabawie we troje. Jakby mówił o pokoju na Bliskim Wschodzie.
- A co ty na to?
- Że bardzo to lubię, szczególnie jak dwaj faceci całują się z jęczyzkiem.

Grace roześmiała się i obie wysiadły. Bolała ją noga. Po przeszło dziesięciu latach nie powinna się już tym przejmować, ale

wciąż starała się ukryć, że utyka. Została przy samochodzie i odprowadziła Corę wzrokiem. Kiedy zadzwonił dzwonek, dzieci wypadły ze szkoły niczym wystrzelone z armaty. Jak wszyscy pozostali rodzice, Grace widziała tylko swoje pociechy. Reszta bandy, chociaż może to zabrzmieć nieładnie, była tylko tłem.

Max pojawił się w drugim rzucie. Kiedy Grace zobaczyła syna – w rozwiązanym bucie, z za dużym plecakiem i we włóczkowej czapce zsuniętej na jedno ucho, jak beret turysty – znów poczuła wzruszenie. Zbiegł po schodkach, poprawiając plecak. Uśmiechnęła się. Zauważył ją i odpowiedział uśmiechem.

Wskoczył na tylne siedzenie saaba. Grace przypięła go pasami do fotela i zapytała, jak minął dzień. Max odpowiedział, że nie wie. Spytała, co robił w szkole. Max odparł, że nie wie. Czy uczył się matematyki, angielskiego, biologii, plastyki i prac ręcznych? Odpowiedź: wzruszenie ramion i „nie wiem”. Grace skinęła głową. Typowy przypadek epidemii nazywanej Alzheimerem szkoły podstawowej. Czy dzieci są tam faszzerowane narkotykami albo przysięgają zachować wszystko w tajemnicy? Oto jedna z zagadek współczesnego życia.

Dopiero kiedy wróciła do domu i dała Maxowi deser – pomyśleć tylko, jogurt wyciskany z tubki, jak pasta do zębów – znalazła czas, żeby obejrzeć pozostałe fotografie.

Lampka automatycznej sekretarki mrugała miarowo. Jedna wiadomość. Grace spojrzała na numer dzwoniącego, ale był zastrzeżony. Nacisnęła odtwarzanie i zdziwiła się. Głos należał do starego... chyba przyjaciela. Znajomego to za mało powiedziane. Zapewne najlepszym określeniem byłby stary znajomy, ale w dość szczególnym znaczeniu tego słowa.

– Cześć, Grace, mówi Carl Vespa.

Nie musiał się przedstawiać. Minęły lata, ale ten głos poznałaby zawsze.

– Możesz do mnie zadzwonić, kiedy znajdziesz chwilkę czasu? Muszę o czymś z tobą porozmawiać.

Drugi pisk zakończył wiadomość. Grace nie poruszyła się, ale poczuła dobrze znany niepokój. Vespa. Dzwonił Carl Vespa. To z pewnością nic dobrego. Carl Vespa, chociaż zawsze

traktował ją uprzejmie, nie znosił jałowej gadaniny. Zastanowiła się, czy oddzwonić, i zdecydowała, że na razie nie.

Poszła do zapasowej sypialni, w której urządziła sobie prowizoryczną pracownię. Kiedy dobrze malowała, gdy była, jak każdy artysta lub sportowiec, „w formie”, patrzyła na świat, jakby szykowała się do przeniesienia go na płótno. Spoglądała na ulice, drzewa, ludzi i zastanawiała się, jakiego powinna użyć pędzla, zestawu kolorów, wachlarza świateł i cieni. Jej sztuka powinna odzwierciedlać jej pragnienia, nie rzeczywistość. Tak widziała sztukę. Oczywiście wszyscy oglądamy świat przez pryzmat naszej osobowości. Najlepsze dzieła sztuki deformują rzeczywistość, aby ukazać świat artysty, to, co on widzi, a dokładniej, co chce, by widzieli inni. Nie zawsze jest to piękniejsze od rzeczywistości. Częściej bardziej prowokacyjne, może nawet brzydsze, efektowniejsze i bardziej ujmujące. Grace chciała wywoływać poruszenie. Można zachwycać się pięknym zachodem słońca, lecz Grace chciała, żeby widz pogrążył się w nim i bał zarówno odwrócić, jak tego nie zrobić.

Wydała dodatkowego dolara na drugi zestaw odbitek. Teraz zanurzyła palce w kopercie i wyjęła je. Pierwsze dwie ukazywały Emmę i Maxa zjeżdżających ze stogu siana. Następna przedstawiała Maxa wyciągającego rękę, by zerwać zielone jabłko. Brzeg zdjęcia był lekko rozmazany w miejscu, gdzie Jack przysunął dłoń za blisko obiektywu. Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Jej wielki niezdara. Na kilku następnych zdjęciach widać było Grace i dzieci z jabłkami, drzewami lub koszami. Zwilgotniały jej oczy, jak zawsze, gdy oglądała zdjęcia swoich pociech.

Rodzice Grace umarli młodo. Matka zginęła, gdy prowadzona przez nią furgonetka zjechała na przeciwległy pas szosy numer czterdzieści sześć w Totowa. Grace, jedynaczka, miała wtedy jedenaście lat. Policja nie przyszła do ich domu, tak jak pokazują to w filmach. O tym, co się stało, zawiadomili ojca przez telefon. Grace wciąż pamiętała, jak ojciec, ubrany w niebieskie spodnie i szary sweter, odebrał telefon, mówiąc swoje melodyjne halo, jak zbladł i osunął się na podłogę,

a jego zduszony szloch szybko ucichł, jakby zabrakło mu tchu, żeby wyplakać swój ból.

Wychowywał Grace, dopóki serce, osłabione w dzieciństwie reumatyzmem, nie odmówiło posłuszeństwa. Była wtedy na pierwszym roku college'u. Mieszkający w Los Angeles wuj chciał zabrać ją do siebie, ale Grace była już pełnoletnia. Postanowiła zostać na wschodzie i radzić sobie sama.

Śmierć rodziców była ciężkim ciosem, oczywiście, ale także nadała jej życiu dziwne impetu. Utrata bliskich zawsze wywołuje poczucie osamotnienia, ale nadaje też sens codzienności. Grace zapragnęła gromadzić wspomnienia i korzystać z życia, aby, chociaż brzmi to ponuro, jej dzieci miały co pamiętać, kiedy i jej już nie będzie.

I w tym momencie, gdy myślała o swoich rodzicach i o tym, że Emma i Max wyglądają teraz na znacznie starszych niż na zdjęciu ze zrywania jabłek w zeszłym roku, natknęła się na tę dziwną fotografię.

Zmarszczyła brwi.

Zdjęcie było w środku paczki. Może nieco bliżej spodu. Odbitka była tej samej wielkości co pozostałe, chociaż nieco cieńsza. Tańszy materiał, pomyślała. Może zrobiono ją na biurowej kserokopiarce.

Sprawdziła następne zdjęcie. Nie było duplikatu. To dziwne. Tylko jedna odbitka. Zastanowiła się. To zdjęcie musiało zaplątać się z innej rolki filmu.

Ponieważ to nie było jej zdjęcie.

Pomyłka. Oto najprostsze wyjaśnienie. Pomyśl o jakości pracy, powiedzmy, Koziej Bródki. On z całą pewnością mógł coś pokręcić, no nie? Wetknąć cudze zdjęcie między jej odbitki?

Właśnie tak pewnie się stało.

Czyjaś fotografia znalazła się między jej zdjęciami.

A może...

Zdjęcie wyglądało na stare, chociaż nie było czarno-białe ani w kolorze sepia. Nic podobnego. Było kolorowe, ale barwy wydawały się jakoś dziwnie... wypłowiałe, wyblakłe od słońca, nie tak żywe jak można oczekiwać w dzisiejszych czasach.

I ludzie na niej także. Ich ubrania, fryzury i makijaż były nie-modne. Sprzed piętnastu, może dwudziestu lat.

Grace położyła zdjęcie na stole, żeby obejrzyć je dokładniej.

Fotografia była lekko nieostra. Ukazywała cztery – nie, chwileczkę, jeszcze jedna w rogu – pięć osób. Dwóch mężczyzn i trzy kobiety, jeszcze nastoletni, a może już po dwudziestce. Przynajmniej ci, których widziała dość dokładnie, wyglądali na takich.

Uczniowie college'u, pomyślała Grace.

Mieli na sobie dzinsy, bawełniane koszulki, przydługie włosy i ten charakterystyczny wygląd budzącej się niezależności. Zdjęcie sprawiało wrażenie zrobionego zniechcąca, zanim fotografowani zdążyli się przygotować. Niektórzy z nich mieli odwrócone głowy, tak że widoczne były tylko profile. Ciemnowłosej dziewczynie przy prawej krawędzi zdjęcia widać było tylko tył głowy i dzinsową kurtkę. Obok niej stała inna dziewczyna, o ognistorudych włosach i szeroko rozstawionych oczach.

Stojąca prawie na środku dziewczyna, blondynka – mój Boże, co to ma znaczyć? – miała twarz przekreśloną dużym iksem. Jakby ktoś ją skreślił.

W jaki sposób to zdjęcie...

Patrząc na nie, Grace poczuła ukłucie niepokoju. Te trzy kobiety – nie знаła ich. Dwaj mężczyźni wyglądali podobnie – ten sam wzrost, fryzury, miny. Stojącego po lewej faceta również nie znała.

Była jednak pewna, że rozpoznaje drugiego mężczyznę. Czy też chłopca. Właściwie nie był jeszcze w takim wieku, żeby nazywać go mężczyzną. Dostatecznie dorosły, żeby służyć w wojsku? Pewnie. Tak więc należało nazywać go mężczyzną. Stał na środku, obok blondynki z przekreśloną twarzą...

Przecież to niemożliwe. Po pierwsze, był lekko obrócony profilem. I ta rzadka broda zasłaniała mu większą część twarzy...

Czy to jej mąż?

Grace pochyliła się nad zdjęciem. Jacka było widać kiepsko i z profilu. Nie znała go, kiedy był młody. Spotkali się trzy-

naście lat temu na plaży na Lazurowym Wybrzeżu. Po roku, kilku operacjach chirurgicznych i fizjoterapii, Grace jeszcze nie doszła do siebie. Nie pozbyła się bólów głowy i amnezji. Utykała, i utyka do tej pory, ale mając dość wścibstwa mediów i zamieszania wywołanego tragicznymi wydarzeniami tamtej nocy, Grace po prostu na jakiś czas chciała się od tego oderwać. Ukończyła studia na wydziale sztuk plastycznych uniwersytetu w Paryżu. Podczas wakacji, wygrzewając się w słońcu na Lazurowym Wybrzeżu, poznała Jacka.

Czy to na pewno jest Jack?

Niewątpliwie na tym zdjęciu wygląda inaczej. Włosy ma znacznie dłuższe. I tę brodę, chociaż był jeszcze za młody i miał za słaby zarost, żeby zupełnie zakryła mu twarz. Nosi okulary. Jednak zdradziła go pozycja, pochylenie głowy, wyraz twarzy.

To był jej mąż.

Pospiesznie przejrzała pozostałe zdjęcia. Kolejne ujęcia ze stertą siana, jabłkami, wyciągniętymi po nie rękami. Zobaczyła to, które sama zrobiła Jackowi, gdy raz, wyjątkowo, pozwolił jej wziąć do ręki aparat. Podniósł ręce tak wysoko, że koszula wyszła mu ze spodni i odsłoniła brzuch. Emma powiedziała mu, że ma za duży. Oczywiście, w ten sposób tylko zachęciła Jacka, który wypiął go jeszcze bardziej. Grace się roześmiała.

– Popracuj nim, chłopcze! – powiedziała, robiąc zdjęcie.

Jack posłuchał, co Emma przyjęła z głębokim niesmakiem.

– Mamo?

Odwróciła się.

– O co chodzi, Max?

– Mogę sobie wziąć batonik?

– Weź jeden do samochodu – powiedziała, wstając. – Musimy dokądś pojechać.

• • •

Koziej Bródki nie było w Photomacie.

Max oglądał opatrzone dedykacjami ramki na zdjęcia z okazji urodzin. Kochamy cię mamo i tym podobne. Mężczyzna za

kontuarem, wystrojony w poliestrowy krawat, ochraniacz na kieszonkę i koszulkę z krótkimi rękawami tak cienką, że widać było przez nią podkoszulek, nosił identyfikator, głoszący wszem wobec, że on, Bruce, jest zastępcą kierownika.

– W czym mogę pomóc?

– Szukam młodego człowieka, który był tu parę godzin temu – powiedziała Grace.

– Josha już dzisiaj nie będzie. Co mogę dla pani zrobić?

– Tuż przed trzecią odebrałam wywołany film...

– Tak?

Grace nie wiedziała, jak to ująć.

– Wśród odbitek było zdjęcie, którego nie powinno tam być.

– Nie wiem, czy rozumiem.

– Jedno ze zdjęć. Nie ja je zrobiłam.

Wskazał na Maxa.

– Widzę, że ma pani małe dzieci.

– Słucham?

Zastępca kierownika Bruce poprawił zsuwające się na czubek nosa okulary.

– Ja tylko chciałem powiedzieć, że ma pani małe dzieci.

A przynajmniej jedno.

– Co to ma z tym wspólnego?

– Czasem dziecko bawi się aparatem. Kiedy rodzice nie widzą. Robi zdjęcie czy dwa. Potem odkłada aparat.

– Nie, to nie to. To nie nasze zdjęcie.

– Rozumiem. Cóż, przepraszam za kłopot. Czy dostała pani wszystkie odbitki?

– Tak sądzę.

– Żadnej nie brakowało?

– Nie sprawdzałam tak dokładnie, ale są chyba wszystkie.

Otworzył szufladę.

– Proszę. To kupon. Następnym razem wywołamy za darmo. Dziewięć na trzysta. Jeśli zechce pani dziesięć na pięćnaście, za niewielką dopłatą.

Grace zignorowała wyciągniętą rękę.

– Napis na drzwiach głosi, że wszystkie zdjęcia wywołujecie tutaj.

– Zgadza się. – Poklepał stojącą za nim maszynę. – Robi to dla nas stara Betsy.

– A więc mój film został wywołany tutaj?

– Oczywiście.

Grace wręczyła mu kopertę Photomatu.

– Może mi pan powiedzieć, kto wywołał ten film?

– Jestem pewien, że to była zwykła pomyłka.

– Nie twierdzę, że nie. Ja tylko chcę wiedzieć, kto wywołał mój film.

Spojrzał na kopertę.

– Mogę spytać, dlaczego chce pani to wiedzieć?

– Czy to Josh?

– Tak, ale...

– Dlaczego wziął wolne?

– Przepraszam?

– Odebrałam zdjęcia tuż przed trzecią. Zamykanie o szóstej. Jest już prawie piąta.

– Co z tego?

– Wydaje się dziwne, że w punkcie zamykanym o szóstej pierwsza zmiana kończy się między trzecią a piątą.

Zastępca kierownika Bruce wyprostował się z godnością.

– Josh został wezwany w pilnych sprawach rodzinnych.

– Jakich sprawach?

– Proszę, pani... – sprawdził na kopercie – Lawson, przepraszam za ten błąd i kłopot. Jestem pewien, że zdjęcie z innej rolki przypadkiem znalazło się w pani kopercie. Nie przypominam sobie, żeby przydarzyło nam się coś takiego, ale nikt nie jest doskonały. Och, chwileczkę.

– Tak?

– Czy mogę zobaczyć tę fotografię?

Grace obawiała się, że zechce zatrzymać zdjęcie.

– Nie mam go przy sobie – skłamała.

– Co było na tym zdjęciu?

– Grupa ludzi.

Kiwnął głową.

– Rozumiem. Czy byli nadzy?

– Co takiego? Nie. Dlaczego pan pyta?

– Wygląda pani na rozgniewaną. Założyłem, że to zdjęcie tak panią oburzyło.

– Nie, nic takiego. Chciałam tylko porozmawiać z Joshem. Może pan podać mi jego nazwisko albo numer telefonu?

– Niestety, nie. Jednak będzie tu jutro od rana. Może pani wtedy z nim porozmawiać.

Grace podziękowała i wyszła. Może tak będzie lepiej, pomyślała. Przyjeżdżając tutaj, zareagowała nerwowo. Poprawka. Zareagowała zbyt nerwowo.

Jack za kilka godzin wróci do domu. Wtedy go o to zapyta.

• • •

Grace musiała rozwieźć do domów dzieci po lekcji pływania. Cztery dziewczynki w wieku od ośmiu do dziesięciu lat, wszystkie niezwykle żywe, wcisnęły się na tył wozu. Głośne chichoty, chóralne „halo, pani Lawson”, mokre włosy, delikatny zapach chloru z YMCA i gumy do żucia, odgłos ściąganych plecaków i zatraskiwanych pasów. Nikt nie usiadł z przodu – zgodnie z nowymi przepisami – ale chociaż czuła się jak szofer, a może właśnie dlatego, Grace lubiła odwozić dzieci. Mogła wtedy patrzeć, jak jej pociecha radzi sobie z rówieśnikami. W samochodzie dzieci rozmawiają swobodnie, jakby kierujący znajdował się w zupełnie innej strefie czasowej. Rodzic wiele może się dowiedzieć. Może odkryć, kto jest w porzo, a kto nie, kto przyszedł, a kto nie, który nauczyciel jest super, a który z całą pewnością do niczego. Można, jeśli słucha się dość uważnie, dojść do tego, na którym szczeblu klasowej hierarchii znajduje się nasze dziecko.

I można się przy tym doskonale bawić.

Jack znowu pracował do późna, więc po powrocie do domu Grace szybko przygotowała obiad dla Maxa i Emmy – gulasz warzywny (podobno zdrowszy, a po dodaniu keczupu dzieciaki nie zauważą różnicy), placki ziemniaczane i wielką mrożoną kukurydzę Jolly Green. Na deser obrała im dwie pomarańcze. Emma odrobiła prace domowe, zdaniem Grace zbyt trudne dla ośmioletniego dziecka. Gdy znalazła chwilę czasu, Grace przeszła przez korytarz i włączyła komputer.